

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 31·20. Półrocznie K 62·40. Rocznie K 124·80. W Austryi: Kwartalnie K 31·20. Półrocznie K 62·40. Rocznie K 124·80.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor. na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonparellowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korelewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 2·50 kor.

Rok XVI. Kraków, 27. grudnia 1919. Nr. 52.

KOLĘDA.



Kolęda.

Bóg się rodzi w huraganie
Najstraszniejszej z krwawych burz,
Precz zwątpienie, ból i łkanie,
Oto idzie Zmartwychwstanie
Tej najdroższej Ziemi już!

Ach! Po brzegi przepełniony
Był już łez i smutku kielich,
Kiedy spłynął z sfer natchniony
Głos Nowiny upragnionej,
Chór świetlanych rzesz anielich.

I grzmi pieśń, że wstaje z chwałą
Polska, zlana krwią i łzami,
Ze się Słowo Ciałem stało,
By zamieszkać między nami!

*

Wśród nocnej ciszy w hymn ta pieśń rośnie
I betleemska, złota lśni gwiazda...
Na wieść o cudnej, słonecznej Wiośnie
Świat się w zachwycie śmieje radośnie
I Szczęście w ludzkie wstępuje gniazda.

Wzruszone serca rwą się ku Temu,
Co się dziś rodzi, aby je zbawić,
Świętą Ojczyznę dać bezdomnemu
I znów z polskiego jej Betleemu
Jak w pełnych chwały dniach błogosławić.

*

W żłobie leży, Twórca świeżej
Ery, Zwiast Sprawiedliwości,
W ręku Boskiej Pramacierzy
Liliowy kwiat się śnieży,
Symbol Szczęścia i Wolności.

O, daj Dobro wiekuiste,
Któryś na świat zstąpił dziś!
Stwórz ofiarne w nas i czyste
Serce ojców naszych, Chryste,
I tchnij *jedną*, zgodną myśl!

*

Pójdźmy wszyscy do stajenki,
Kędy gwiazda lśni zaranna,
Złożyć Bogu hołd i dzięki:
O, hosanna Ci, hosanna!

Józef Wiśniowski.

Kraków, 24 grudnia 1918.

Od Redakcyi.

Wszystkim naszym P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom zasyłamy serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt!"

Od Wydawnictwa.

Na przełomie dziejów, w chwili wyzwolenia naszej Ojczyzny z więzów niewoli — kończą „Nowości Illustrowane" szesnasty rok swego wydawnictwa... Wielkie chwile, jakie przeżywamy, wkładają na nas wielkie obowiązki, tem większe, że „Nowości Illustrowane" są **jedyną na ziemiach polskich illustracyą chwili bieżącej.**

Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie stają nam na drodze w tych ciężkich czasach. Możemy jednak z dumą spojrzeć na miniony okres naszej działalności, co można było osiągnąć przez korzystanie z obcych źródeł illustracyjnych, staraliśmy się przedewszystkiem o illustrowane zobrazowanie dziejowych wydarzeń w Polsce.

Nie szczędząc trudów i kosztów, będziemy się starali i na przyszłość dawać społeczeństwu najwierniejszy, bo illustrowany wyraz wszelkich przejawów społecznych i politycznych w wolnej już Polsce. W tym celu zapewniliśmy sobie współpracownictwo korespondentów z całej Rzeczypospolitej, oraz zagranicznych, co naturalnie pociągnie za sobą znaczne koszta. Głównym zadaniem naszem — to illustrowana kronika zmartwychwstałej Polski. Przygotowujemy również na przyszły rok kilka powieści wybitnych polskich pisarzy, oraz tłumaczenia najnowszych powieści zagranicznych. Mimo szalonych kosztów, będziemy się starać o utrzymanie wydawnictwa na wysokim poziomie artystycznym.

Ze względu jednak na podrożenie papieru, cennika drukarskiego i materyałów potrzebnych do sporządzania klisz, zmuszeni jesteśmy do podwyższenia cen prenumeraty, która będzie wynosić:

kwartalnie	**37·40 kor.**
półrocznie	**74·80 kor.**
rocznie	**149·60 kor.**

Egzemplarz pojedynczy 3 korony.



Wawel: Uroczy zakątek na Wawelu. Droga do Smoczej Jamy.
(Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski.

Wawel.

W dzisiejszym świątecznym numerze „Nowości Ilustrowanych" składamy naszym Czytelnikom wiązankę pięknych zdjęć z Wawelu. Soczewka artysty fotografa uwieczniła tutaj widoki, pełne uroku. Nie każdy z Czytelników być może zdaje sobie sprawę z tego, że jest to praca nielada. Po za wnętrzem katedry i po za podwórcem arkadowym zamku na całem wzgórzu wawelskiem, niegdyś słynnem z pięknych widoków i malowniczych obrazów z trudem znajdziemy miejsce, niezohydzone przez szpetne szopy i budowle wojskowe austryackie. Trzeba nielada bujnej fantazyi, by módz sobie wyobrazić, jak zamek bez tych ohydnych pomników obcej władzy wyglądał i jak wyglądać w przyszłości może, gdy umiejętna ręka odrzuci to wszystko, co niegodnem jest Wawelu, zmodyfikuje to, co pozostać na niem może, otworzy nowe piękne perspektywy i widoki, podkreśli części historyczne i stworzy punkty oparcia dla naszej legendy wawelskiej. Praca na Wawelu, to nie samo tylko restaurowanie izb dawnej siedziby królewskiej. Nie chodzi tu tylko i wyłącznie o roboty odnowicielskie. Czyż mniej ważne są prace, zdążające do odkrywania wszystkich tych skarbów przeszłości, jakie zazdrośnie się kryją w głębi tylowiekowych nawarstwowień terenu? Czy moglibyśmy sobie obecnie wyobrazić Wawel bez rotundy, najstarszej świątyni w Polsce? W tym kierunku prace zaledwie cokolwiek tylko postąpiły naprzod. A gdyby nawet były już skończone, gdybyśmy nawet odrestaurowali zamek królewski, byłaby to dopiero połowa zadania: bo nie mniej pracy czeka na nas z rozwiązaniem całej reszty wzgórza. Pytanie, co ma się stać z budynkami po dawnych szpitalach austryackich, co należy wykonać wrazie ich zburzenia jest dla Wawelu, jako całokształtu, nie mniej ważnem — a niezawodnie ważniejszem nawet — niż odrestaurowanie pałacu. Nad sprawą tą pracujemy od 1916 roku. Ostatecznym rezultatem tej pracy będzie wystawiony w Towarzystwie Sztuk Pięknych projekt rozwiązania wzgórza, oddany pod sąd publiczności. Nie żałujemy pracy, której tyle już włożyliśmy w sprawę Wawelu, a tyle jeszcze włożyć musimy. Nie pożałujemy jej, jeśli chociaż w części nie pójdzie na marne, a zależy to obecnie w wielkiej mierze od samejże publiczności. Na poszukiwania, na odnowienie zamku, na uporządkowanie wzgórza, a co za tem idzie, na pozbycie się wszystkich elementów, dzisiaj obrzydzających pobyt na zamku, a wyłuskanie z zapuszczonej skorupy tylu pięknych widoków, jakie w niej grzęzną — na to wszystko trzeba kroci kroci. A pieniędzy niema. Jeśli roboty dalej pójdą w tempie dotychczasowym, na wykonanie tego wszystkiego, co na Wawelu do





Arkady w Zamku wawelskim. **Wawel:** **Widok na Kraków z wieży Zygmuntowskiej.**
(Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski.)



Wawel: 1) Wieża zegarowa. 2) Wieża Zygmuntowska. 3) Baszta senatorska (Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski.)

wykonania przewidujemy, trzeba lat setek, a chcielibyśmy skończyć tych kilka słów krótkim życzeniem świątecznem: Oby za lat kilkanaście w numerze świątecznym „Nowości Ilustrowanych“ znalazło się kilkadziesiąt najpiękniejszych widoków uporządkowanego i odnowionego naszego Akropolu!

Adolf Szyszko-Bohusz.

Podając artykuł prof. J. Szyszki-Bohusza Redakcya „Nowości Illustrowanych“ zwraca się z gorącym apelem do swoich Szan. Czytelników i całego społeczeństwa o jak najwydatniejszą pomoc na restauracyę naszego drogiego Wawelu.

W obecnej chwili powinniśmy tembardziej pamiętać o naszej perle. Dawniej Austryacy tamowali nam wszelki ruch zdążający do odnowienia Wawelu, starając się stłumić w sercach żywe wspomnienia, jakie ta droga nasza pamiątka budziła. Przecie tam gnieździła się nasza duma narodowa, tam tliły się te przeogromne, a skryte pod batem najeźdźcy iskry najżywotniejszych uczuć, które lada chwila mogły się rozkrzesać w przeogromny pożar. Pamiętajmy, że tam rodziły się tytaniczne myśli Wyspiańskiego, który na tle Wawelu wołał do narodu, aby kuł swoje myśli do przeświętej chwili Wyzwolenia, aby uczuł się wreszcie narodem o milionach serc i o tytanicznych pożarach myśli. Dziś ten dzień nadszedł i dziś szczególnie silnie powinien się rozlegać Zygmunta dzwon w naszych sercach i wołać swoim spiżowym głosem do wspólnej i granitowej pracy.

To też cały naród powinien czuć za swój obowiązek spieszyć z pomocą ludziom goracej woli, którzy tam całą swoją pracę poświęcają. Każdy powinien dorzucić tam bodaj jedną cegiełkę, bodaj najdrobniejszy wysiłek i ofiarę, a małe siły, gdy razem się złączą stworzą wielki czyn.

Restauracya Wawelu wymaga olbrzymich wkładów, na które fundusz jest nadzwyczaj szczupły, rząd zaś w obecnem przesileniu finansowem nie może sprostać wymaganym potrzebom, musi więc całe społeczeństwo w tym kierunku połączyć się.

W tym celu otwieramy listę składek, do których wszyscy chętnem sercem powinni się garnąć.

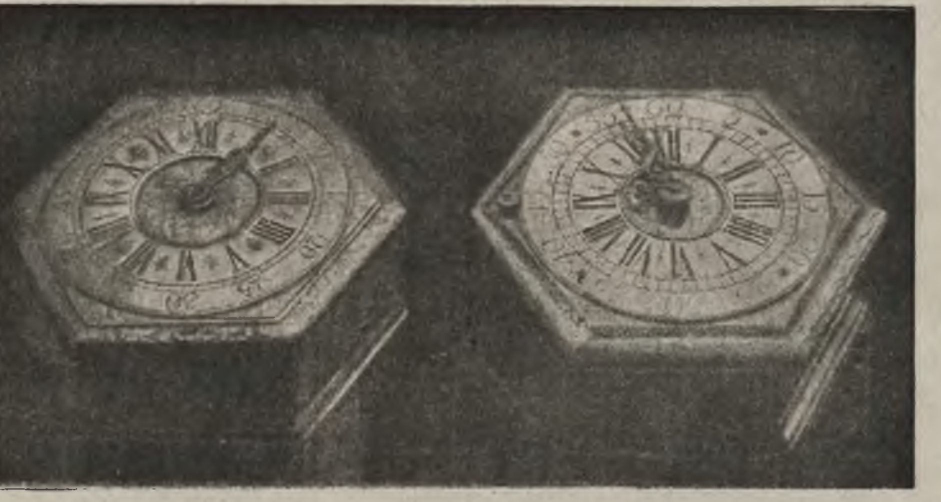


Odrzwia w sypialni Zygmunta I.



Wawel: Sypialnia Zygmunta I. Piec z Wiśniowca. (Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski.)





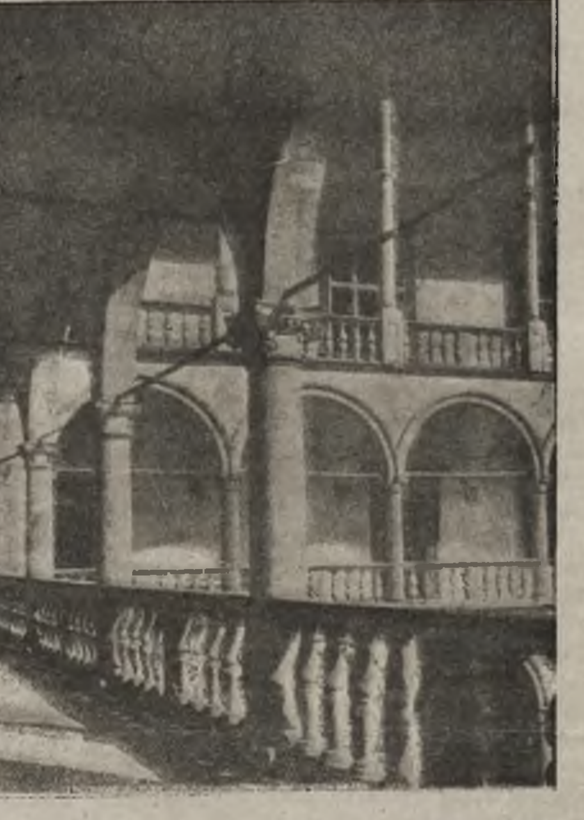
Z dziejów Gdańska:

Zegar „kaflowy" roboty Benjamina Zolla z Gdańska; pierwszy, własność dr. Miłkowskiego z Krakowa, drugi ks. dr. Kruszyńskiego.

Zegary roboty Benjamina Zolla z Gdańska; pierwszy, własność dr. Miłkowskiego, drugi ks. dr. Kruszyńskiego



Wawel: U wejścia do Smoczej Jamy (Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski)



Wawel: Ganek z arkadami na I piętrze w Zamku królewskim (Fot. Dipl. Ing. K. Cybulski)



Z dziejów Gdańska: Wyspa na Reduni i kościół św. Katarzyny w Gdańsku. Wedle miedziorytu Schultza z połowy XIX w.

Adam Bar.

W wigilijny wieczór.

Rozbitym i leniwym ruchem odwrócił głowę od ściany i wbił oczy w kłębiaste cienie porozściełane puszystym kobiercem w kątach celi. Była jeszcze widocznie pełna noc.

Wszędzie panowała cisza; tylko gdzieś w głębi słychać było ordynarny chód strażnika więziennego.

Stefan Malewicz już długą chwilę leżał na tapczanie i tępym wzrokiem patrzył przed siebie, ale wkrótce powieki opadły i tylko przez szkliwia szczeliny rozpływał się wąziutki strumyczek szaro-zielonawego światła, które potem zgasło. Zamknął oczy i zatopił się w myślach, które opadły mu na piersi rozpaczliwem, ciężarnem dzisiaj...

— Dzisiaj Wigilia...

Roześmiał się na głos, bo mu się w głowie nie mogła pomieścić ta Wigilia w pruskiem więzieniu. Nie, nie chciał o tem nic wiedzieć, nie mógł, nie, nie... Jakiś samoobronny głos starał się w nim zatrzeć wszystkie wspomnienia, które plątały się w nieubłaganych koniecznościach w jego zbolałej głowie. Na ustach ześlizgnął się cichy, jak skarga skopanego psa szept:

— Nie, nie...

Potem umilkł i już całkowicie wchłaniał w siebie złote obrazy domu, Wigilii. Tam matka czekała, Maryśka... A potem przesunęły się szerokim strumieniem świeżo przeżyte chwile powstania o wolność ukochanego Górnego Śląska; zapadł powoli w tępy zasen i było mu na chwilę dobrze, cicho i spokojnie. Bo obojętne mu było wszystko.

Szybko otworzył oczy i usiadł na tapczanie. Przez zakratowane okienko, niemal pod sufitem umieszczone, padła garść błękitnego, drżącego światła. Kilka oderwanych promyków rozsypało się i biało-szarem po chwili blaskiem, osiadło na ścianie szerokiem rozlewiskiem, którego brzegi miękkim puchem ciemnego tła obrębione zdawały się falować i coś szeptać aksamitnym ruchem. Przez celę przesączał się skrzący obłok pyłów, które zesuwały się ze ścian świetlistą pobiałą. Jakaś cichość, pełna tajemniczych poczynań otaczała go, opadając u nóg błękitnem polśnieniem, drżącym odbrzaskiem, za oknem pokładzionego śniegu. Widział wszystko szeroko rozwartemi oczami. Przed nim roztaczała się perłowa jasność szerokiego łanu śnieżnego, pośród którego wznosiła się samotnica wierzba, o gałęziach zwisłych białemi sieciami, niby smugi pian, nasyconych fioletowem światłem. Z ciemno granatowego sklepienia niebios spadały białe gwiazdki nasiąknięte kryształowem szkliwem, niby mrowisko blasków, tak, że wierzba wyglądała jak olbrzymia czapa, rozkruszona na tysiące dyamentów wszytych w czarniawy oklep. Wkoło tonął cały świat w stłumionych brzaskach opalowej nocy. Niby błękitne opary podniosły się nad łąkami i skaczaniałemi oparzeliskami. Leciuchny potoczek wiatru wstrząsnął gałęzią; urwała się z chrzęstem biała, jedwabna okiść i kaskadą dyamentów, opasanych nićmi tęczy spłynęła w mroczną głąb, tak, że wreszcie śnieg posuwistą falą począł przychwytywać dolne konary. Stefan widział tę wierzbę sierocą.

Padające gdzieniegdzie z więziennych okien światło rozsuwało fale sypkich gwiazdek poprzez mroczne cienie rozsypując mgły w jasności roztopionego szkliwia w zasklepia rowu, zaraz pod więziennem murem biegnącego. Dalej podnosiły się tu i ówdzie stożące sie zaspy wymiecione wczoraj szalejącym wichrem, który tam i sam rozstrzępywał na polach tumany kurzawy. Potem już tylko szeroki płacheć białej poświaty i sznureczek lasów wznoszących się pociętemi szczytami na tle ciemnej głębi niby tajemnicze zgromadzenie odwiecznych gazdów.

Stefan oczami duszy wpatrzył się w ten obraz i na jego tle począł prząść delikatną siatkę myśli, które sączyły się niewyraźnym poszeptem. Widział w nim swoją dolę; płynącą się niby ziarnka różańca. Było mu źle na świecie, rozpacz go ogarniała, nie mógł sobie tego wytłumaczyć, wołał krzykiem przeogromnego bólu i znachodził zadowolenie, jeżeli do ust przyklejał się ironiczny uśmiech. Śmiał się, choć nie wiedział z czego. Ze swojej doli, a tak śmiał się z tej swojej sobaczej doli. Drgnął nagle, bo teraz jako żywą spostrzegł przed sobą martwą bezdnię rozpaczy, przed której uświadomieniem bronił się całą mocą skostniałych sił. Czuł już każde drgnienie, widział ciemnawe przędziwo głuchego smutku, wlokącego się, jak rozskowytane psy. Zwinął się w kłębek, bo miał wrażenie, że łzy piersi mu rozsadzą.

Przypomniał sobie, że dziś ma odejść nowy transport zwolnionych na podstawie układu polsko-niemieckiego. Jego nie wypuszczą, bo zbyt wielkim był zbrodniarzem przeciwko pań
stwu niemieckiemu i że go nie rozstrzelano to łaska. Łotrowska łaska.

Zobaczył znowu przed sobą tę samotnicę wierzbę, stojącą tam na polach teraz w złotawej poświacie świtu, w opyle srebrzystych kryształów, zasnuwających jeszcze mrokiem osypane pola, całe niby morze giętkich dyamentów. I począł chodzić po celi: on sam był, sam jeden na świecie i tu, w tem więzieniu. Do ust znowu przywarł mu nieżywy uśmiech. Sam, bo przecie ojca już dawno nie pamiętał, matkę w jego oczach zabił jakiś pruski żołnierz, Maryśka gdzieś od pobicia umarła, więc nikogo nie miał. To głupstwo jednak, wrzeszczące głupstwo, te wszystkie wspomnienia; przynosiły mu one tylko ból, tak, to był przecie ból, który poprzez przęsło rozpływających się koło niego myśli chłostał go do krwi udręki. Nie, nie chciał o tem myśleć nawet. Na chwilę jednak zdawało mu się, że coś tam w głębi zaskomlało znajomym głosem i że przez zsiadczane gąszcze rokicin i wikli jakieś ślepe łkanie się przedziera. Ha-ha-ha, kłamał sam przed sobą spokój, kłamał, aby tylko ułagodzić zdrętwione myśli, usunąć te straszliwe sobiepańskie myśli, niby kłębek z wężów splecione, osiadłe pod czaszką. Coś tam mówił, coś tłumaczył.

Nagle... Usłyszał na podwórzu jakieś zmieszane, tłumne głosy. Zamilkło w nim wszystko. Ten szmer — to powstańcy, ostatni już z tego więzienia wypuszczeni na wolność, on jeden tylko został jeszcze. Nie chciał tego słyszeć, opadł na tapczan i zatkał rękami uszy; nie chciał przez Bóg żywy słyszeć.

— Ach, jaka bezsensowna ta Wigilia...

Potoczył się znowu rechotliwy skrzekot złośliwego śmiechu. Śmiał się serdecznie i z tym śmiechem przysunął do okna stół, ustawił na nim krzesło i oparłszy się na rękach o zakratowane okno, patrzył przed siebie. Widział zmatowioną przedzierającym się świtem masę. Tak, to byli oni, już wszyscy. Otworzyła się brama, potem druga, trzecia i na białej równinie, aż po kran ec widnokręgu snującej się, rozlała się atramentowa plama, szybko naprzód posuwająca się, aż wreszcie... chciał krzyczeć na nich, aby jeszcze nie znikali, ale nie miał siły; w zaschłych ustach poruszał się język niby wiór; jakaś pomroka właziła mu w oczy, w duszy utkwiły szczyry piaskowe wyjącej bezsiły, nieudźwignionej tęsknoty. Wył z bólu, który nieprzerwanem ćmieniem kłębił się, kotłował. Stefan rozbijał się po celi nie mogąc sobie miejsca znaleźć. Zaczął sobie tłumaczyć, że to nic, to Wigilia taka musi być widocznie. Na chwilę nacichł w nim ten rozpaczliwy głos pustki i samotności jako ta wierzba w tym polu sama; zagasły koszmary widzeń i jakiś duch — opiekuńczy spokój spłynął w udręczone myśli.

Położył się znowu na tapczanie i starał zasnąć. Przeźroczyste palce świtu zsuwały się na oczy, pragnął snu, dużo snu, tę dolę zaspać, tę Wigilię, wszystko zaspać do końca, do śmierci zaspać. Jeszcze wprawdzie na samem czarnem dnie została wiązka rozpłakanych myśli, ale powoli ustały i już widział tylko, że śnieg szeptał opadając na jego wierzbę samotnicę, że pokos zbłękitnionych gwiazd rozścielał się hen w dal nieokrężną i jedynie świt wstawał i zdawało mu się, że te pola drgają jak kryształowe rozlewisko miękkiej wody łanem ukwieconego zboża, które pochyla się z chrzęstem ciężkich kłosów i poszumem szczęścia, zdawało mu się, że na tle tej ciszy rozsączającej się wkoło powstaje jego wielkie szczęście w królewskim przeodziewku. Tak było cicho i tylko snuło się przędziwo subtelnych, gwieździstych dyamentów roztapiających się w miękką białość. Tylko wiatr w tej pospólnej ciszy wyrzeźbiał jakąś pieśń rozkołysaną na strunach duszy pełnej bólu i smutku. Rozumiał to wszystko.

Dzień się robił. Tam na polach już tylko skrawki cieni przytulały się do bruzd na podściółku śnieżnem. Było mu dobrze, spokojnie.

Usłyszał wrzaskliwy zgrzyt otwieranych drzwi i charkotliwy krzyk:

— Kirche.

Nie poruszył się nawet. Wtedy ktoś go brutalnie szarpnął za ramię. Odwrócił się. Przed nim pochylała się nalana tłuszczem, owłosiona twarz strażnika więziennego. Stefan w pierwszej chwili chciał się rzucić na niego z kurczowo zaciśniętemi pięściami, ale zagrzył tylko nerwowo usta i z gardła wydobył się jakiś zgrzytliwy pomruk. Uprzytomnił wtedy sobie już jasno, że rzucić się na Prusaka byłoby szaleństwem.

Powlókł się za strażnikiem leniwym krokiem, już obojętny na wszystko.

Wkrótce stanęli w kaplicy więziennej, poprzegradzanej na pojedyncze cele u góry otwarte. Przed celami znajdowały się miejsca dla strażników.

Przekręcono za nim klucz. Rozglądnął się po celi, jakby ją pierwszy raz widział i na głos się roześmiał.

— Więc to tu jest Bóg? Tu, w tej klatce zbudowanej dla niego za to, że pragnął wolności swej ziemi? Że rzucił wszystko i studya, że...

Rzucił się do drzwi, chciał je wyłamać i krzyczeć temu Bogu, co tam był na ołtarzu, że to wszystko kłamstwo, że ten Bóg zabija w nim wszystko, co mogło jeszcze z wiary pozostać, kłamstwo, kłamstwo! płynęły ostatnie słowa z ust. Po chwili jeszcze cichy szept drgał, gdy dzwonek oznajmił rozpoczęcie Mszy. Stefan popatrzył z nienawiścią na kielich postawiony na ołtarzu i plunął na te wszystkie oszukańcze świętości, na ten fałsz, obłudę, co się tam stawała, bo gdyby Bóg był, nie pozwoliłby tak poniewierać swoje imię na pruskim ołtarzu i w pruskiej kaplicy.

Rozkrzyczanemi głosami zagrały organy, jakaś niemiecka pieśń jęczała i chwaliła niemieckiego Boga. Stefan usiadł na ławce, oparł głowę na rękach i w głowie utkwiało mu tysiące pytań.

— Dlaczego?

Martwa, ale nieubłagana krzywda go tu osadziła. Czuł w sobie samotność tej wierzby w pustem polu. I nie mógł się uspokoić. Wsłuchał się w dźwięki organów i zdawało mu się, że w tonach tej niemieckiej pieśni słychać jakiś cichy, zdławiony w piersiach szloch dzieciny, którą trudno utulić. Tak, organy także płakały, skarżyły się, że musiały chwalić niemieckiego Boga. Stefan czuł to dobrze i były mu teraz serdecznym druhem. Wsłuchiwał si w kaskadę dźwięków smutnych jak on, pełnych skargi jak on. Melodya snuła się koronkowym szuruneczkiem, wirem błagań i zdawało mu się, że przed nim rozpościera się łan chabrów i maków, że w jego oczach ziemia kipi od rostu jakichś wiośnianych radości, że zdala płyną ku niemu złotawe echa szczęścia. Rozumiał wszystko do ostatniego tonu. Wytężył uwagę, bo... Z tego przędzidła tonów poczęła się zrazu nieśmiała, potem coraz silniejsza, już jak tryumf radością przepojona pieśń. Nie wierzył. Gwałtownym ruchem powstał i jak pijany oparł się o ścianę, twarzą zwrócony ku organom.

— Anioł pasterzom mówił... płynęła pieśń.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że z nim pozostał w więzieniu jeden z ciężko obwinionych politycznie powstańców i teraz przypomniał mu Wigilię, bo dziś właśnie zastępował organistę więziennego.

Stefan słuchał. Całą celę napełniła ta ukochana dziś pieśni, że z powrotem stanęły przed nim niezliczone procesye wspomnień. To było szczęście jego, tylko jego szczęście. W blaskach zórz tego szczęścia zapalały się porozlewane wody, utkane z dyamentów, topazów, ametystów, tysiąca świateł, tęczą rozedrganych. W koło wybuchnęły zielone chmury drzew i łozin. Całą duszą był wsłuchany, a potem opadł jak pierwej na ławę, oparł głowę na rękach i załkał. Poprzez palce sączyły się krople łez. Potem wszystko ucichło. Stefan szklistym wzrokiem popatrzył obok siebie i nie mógł sobie zdać sprawę gdzie jest, nie chciał o tem zresztą nic wiedzieć. Tylko na ustach zawisły jakieś błękitne poszepty radości.

Otworzono drzwi i kazano mu wracać do celi. Nie buntował się już teraz, był pełen tej świętej pieśni, którą chował w swojej piersi jako skarb przenajdroższy i kiedy znalazł się

w celi usiadł znowu na tapczanie i tak długo pozostał nieruchomie. Miał w sobie radość cichego i ukochanego snu.

Otoczył go zdrowożytny spokój. Widział się małem dzieckiem; jak chodzi pod drzwiami za któremi miały się cuda znajdować. Rodzice z tajemniczemi minami nakazują mu, aby był grzeczny, a aniołek mu prześliczny gwiazdkę przyniesie. Stef jest bardzo grzeczny, wszystkich słucha, stara się każdemu usłużyć. Rozmawia ustawicznie ze starą Agnieszką starając się od niej wyciągnąć, co to aniołek przyniesie, ale Agnieszka wzrusza tylko ramionami i powtarza to samo co rodzice — aby był grzeczny. To go wreszcie niepokoi, czy jest naprawdę grzeczny. Ustawicznie kołuje pod drzwiami. Raz gdy w pokoju nikogo nie było, cicho stanął pod drzwiami, wspiął się na palcach i chciał zajrzeć do środka, ale — był za mały. — I byłby się dlatego rozpłakał, ale weszła Agnieszka i musiał być znowu — grzeczny. Nie mógł się doczekać tego wieczoru, a dzień na złość jemu był ciągle długi i niedobre słońce ciągle świeciło. Wałęsał się od kąta do kąta i nie mógł się niczem zabawić, stanowczo nie mógł. Przyszedł Staś z sąsiedztwa i poczęli się bawić w wojsko, ale to ich nie cieszyło, więc usiedli obaj na kanapce i poczęli sobie opowiadać, co tam może być za drzwiami. Ale mimo tysięcy domysłów żaden nie przypadł im do gustu więc z powrotem udali się po radę do Agnieszki, ale ta była dziś rzeczywiście niegrzeczna. Stef tłómaczył jej jak mógł, że jak im nie powie aniołek nic jej nie przyniesie, ale mimo to nie chciała nic powiedzieć. Wreszcie zbliżył się wieczór i usiedli do stołu. Stef jadł pospiesznie i poparzył sobie usta, ale bo też doczekać się nie mógł. Potem ojciec zbliżył się do drzwi, otworzył i mały Stef stanął zdumiony. W rogu pokoju stała skrząca się od światła choinka i co tam jeszcze nie było. Usiadł na koniku, którego znalazł pod choiną, chwycił trąbkę i jechał, jechał na kraniec świata po królewnę zaklętą, o której opowiadała Agnieszka. Potem Maryśka usiadła przy fortepianie i potoczyła się białym, perłowym łańcuszkiem kolęda. Boże, ile rozkoszy to było, szczęścia tyle, tyle wszędzie — — —.

Stefan śnił tak dzień cały — — —.

Po południu wyprowadzono więźniów na spacer na podwórze. Kiedy owiało go świeże powietrze drgnął. Szalona myśl uderzyła mu do głowy, jakby nagle wszystka krew zawrzała. Nie, nie... Tak mu się to wydawało niemożliwe do wykonania, tak wprost nieprawdopodobne, a jednak... Wiedział dobrze, że to się musi stać. Do ust przylgnęły mu te słowa, które się w rozpalonym mózgu momentalnie zrodziły. Jakby we śnie chodził po podwórzu i pracował całą siłą swojej myśli. Starał się w błyskawiczny sposób utworzyć plan, bo wiedział że chyba tylko teraz, albo nigdy. Nigdy? zmartwiał na te słowa; głuchy krzyk wydarł się z piersi. Teraz, teraz, już musi, bo chyba oszaleje. Pracował rozpaczą już przecie!

Tymczasem dzień zachodził, robiło się szaro. Stefan począł się powoli uspakajać, starał się wszystkie nerwy trzymać w ręku, bo teraz musiał tylko zimno i trzeźwo działać. Machinalnie przechadzał się pod murem, który przegradzał dwa więzienne podwórza. Wiedział, że najpierw za wszelką cenę musi się dostać na drugą stronę. Trudność polegała na tem, że w bramie stał żołnierz; należało więc pilnie patrzeć, aby w chwili gdy żołnierz się odwróci w inną stronę, szybko przejść na podwórze drugie. Stefan stanął obok bramy i począł myśleć co dalej robić. Wiedział, że trudności przedarcia się później przez mury więzienne są wprost niepokonalne, a jednak za wszelką cenę musiał uciekać. Coś mu mówiło, że zginie, że go pochwycą i wtedy już nigdy nie wydostanie się z tego niemieckiego piekła. Cóż, że w ten wieczór wigilijny podadzą mu jak zwykle garnek robaczliwej zupy, cóż, że kolendą będą mu systematyczne kroki pruskiego strażnika więziennego pod drzwiami jego celi? Przecie może go za kilka dni także zwolnią, jak innych, a ucieczka może wszystko zniweczy. Ale jest także prawie pewność, że go nie zwolnią i będą włóczyć po więzieniach, aż go więzienia na śmierć zatłuką. Przecie miał już kilka tego rodzaju przykładów. A z drugiej strony właściwie do czego ma uciekać, gdy w domu niema nikogo... Zajrzały mu w duszę zielone oczy dyablika, który roześmiał się na głos cały i ciągle jak wahanie zegara powtarzał.

— Nikogo.

Nikogo — powtarzało cicho wśród murów więziennych, nikogo — zdali się mówić wszyscy ci zbrodniarze, wśród których stał, nikogo — powtarzał każdy płatek padającego śniegu.

Otrząsnął się z przykrych myśli i wytężonym wzrokiem śledził ruchy w tej chwili odwróconego prusaka. Lisim krokiem przysunął się bliżej bramy. Krew biła mu młotem w skroniach przed oczyma przesuwały się ciemne plamy. Nagle przypadł do muru, gwałtownie otworzył bramę i znalazł się na drugiem podwórzu. Począł biedz w przeciwną stronę. Nie było tu nikogo. Z zapartym oddechem przylepił się do muru i słuchał. Na drugiem podwórzu słychać było zwyczajny szmer, więc widocznie jego ucieczki nie zauważono. Odetchnął pełną piersią i począł układać dalszy plan; należało szybko działać, bo przy liczeniu mogli zauważyć brak jednego więźnia. Pilnie patrzył po całem podworcu w obawie najmniejszego ruchu i w tej wędrówce zobaczył w cieniu o kilkanaście kroków stojący wóz. Z początku go nie zauważył, ale teraz... Przysunął się do wozu i począł dyszel odczepiać; robota szła mu mimo nadzwyczajnego naprężenia nerwów gorączkowo i niespokojnie. Zmarznięta śruba nie chciała ustąpić, więc z wściekłością chwycił ją oboma rękami, a potem zębami począł odkręcać. Po długim wysiłku wreszcie dyszel odczepił. Teraz wyjął papier i ołówek, który raz dał mu dawny więzienny strażnik Polak w pruskim szynelu i drżącą ręką, ale spokojnie, aby pismo niczego nie zdradzało napisał:

Geselle Lindner ist beauftragt eine Deichsel aus der Gefängnisremise zwecks Reparation in meine Werkstätte zu holen. *Herzmann.* Schmiedmeister.

Potem wziął dyszel na ramię i szybkim krokiem zbliżył się do bramy. Zatrzymano go. Słowa nie mógł z poza zaciśniętych zębów wykrztusić; wszystkie mięśnie stężały w nim, ale w tej chwili wyrwał go z otrętwienia drażliwy głos: „Wohin“? Wyciągnął rękę z kartką. Prusak przeczytał, coś mruknął i odwrócił się. Stefan spokojnym krokiem minął pierwszą bramę. Wkrótce jednak przystanął i rękawem obtarł czoło. Począł tracić siły, a tego najbardziej się obawiał; oparł się o mur, aby wypocząć. Tysiące myśli kotłowało mu się w piersiach latową pogodą, cichym o szlannej muzyce strumykiem. Teraz już by go nikt nie zawrócił; tak mu się w tej chwili życie wydawało drogie, tyle szczęścia było w duszy. O czemś dumał, marzył o tej kolędzie, co tam za bramą wznosi się... Usłyszał jakieś szybkie kroki na podwórzu, krzyki. Trwoga spętała mu nogi. Wiedział, co znaczą te krzyki, tak ścigano niedawno zbiegłego powstańca. Zapewne spostrzeżono jego ucieczkę. Rzucił się z rozpaczą naprzód. Przed drugą bramą znowu pokazał kartkę i przed trzecią. Ale już niemal wyraźnie słyszał zmieszane głosy pościgu; kiedy dostał się poza mury więzienne odszedł kilka kroków spokojnie, a potem przypuszczając, że go już nikt nie widzi, rzucił dyszel i szybko począł uciekać przez pole. Byle tylko dostać się pod samotnicę wierzbę, aby potem pod jej osłoną przebiedz otwartą przestrzeń przed lasem, w którym już był jak w domu. Biegł, ile mu sił starczyło. Na chwilę się odwrócił i zobaczył w bramie kilkanaście świateł, które szybko, jak garść robaczków świętojańskich rozsypały się i poczęły rozbiegać po polu. Potem wszystkie na jakiś krzyk zbiegły się znowu i z gwałtowną szybkością zaczęły zbliżać się ku niemu. Spostrzeżono go. Nagle padł strzał i kula świsnęła o kilkanaście kroków od niego. Potem druga; uczuł ukłucie w prawem ramieniu, ale nie namyślał się nad tem. Zaspy śnieżne wzdymały się niby z mgły utkane wzgórza, tak, że z trudem szedł naprzód. Już był niedaleko wierzby, gdy padło znowu kilka strzałów. Miliony gwiazd zabłysło mu w oczach; brakło mu tchu, uczuł ostre ukłucie w piersiach. Zatrzymał się na chwilę i starał myśli skupić; stanowczo nie mógł myśleć. W oczach rosły mu potworne zwidzenia, które jednak szybko zamieniły się w morze ciemności. W tej chwili usłyszawszy głosy pościgu zerwał się i rozpaczliwym, olbrzymim wysiłkiem rzucił się naprzód, ale po kilku zaledwie krokach potknął się i usiadł w śniegu. Nie mógł już dalej iść, ale musiał, musiał na Boga. Wybawicielka wierzba, pod którą mógł dłużej wypocząć, znajdowała się już niedaleko. Chciał się podnieść, ale nie miał sił. Pod koszulą sączyła się ciepła krew. Siedział jakiś czas i było mu tak dobrze, spokojnie, że chciałby w ten sposób pozostać całe życie, gdy jakiś machinalny odruch dźwignął go gwałtownie i postawił na nogi. Postąpił dwa kroki, ale znowu potknąwszy się, począł się czołgać. Jakieś lepkie palce musnęły go po twarzy, a potem oplotły za szyję. Był już pod samotną wierzbą. Usiadł w olbrzymiej stercie śniegu, że go nawet widać nie było; oparł głowę o wystającą grubszą gałąź i począł marzyć. Śnił złoty sen. Był znowu małym chłopakiem, zdawało mu się, że dosiada ślicznego konika, obok osypanej światłem choiny, że jedzie gdzieś za siedm gór i lasów uwolnić zaklętą królewnę, o której opowiadała Agnieszka, że Marylka gra na fortepianie, a wkoło kolędują z całej duszy. Rozpalonemi ustami przytulił się do tej przecudnej kolędy i słuchał, słuchał oczarowany; ktoś mu coś szeptał obok, jakieś dzwony opowiadały sobie, jak to dawne dzwony grały w wigilijny wieczór, obok strumyk szumiał srebrnemi skrzypcami, pieśń chyboce się, faluje skrzydełkami... tyle szczęścia. Tak spokojnie w duszy, tak jasno, tak płynie kolę... Stefan pochylił głowę na piersi. — — — —

Śnieg padał dyamentowemi gwiazdkami, kilka z nich osiadło na jego czole; potem za jakiemś leciuchnem muśnięciem wiatru kiwnęła się gałązka wierzby i sto iskier posypało się i pokryło oczy Stefana. Było cicho wszędzie, a tylko ustawicznie śnieg dużymi kryształami szemrał, jednostajnym ruchem pokrywając szerokie i głuche pole. Na białej pościułce stała samotna wierzba.



Pierwsza kobieta w parlamencie angielskim: Lady Astor w otoczeniu swoich dzieci.

MÓJ PIERWSZY BAL.

I.

— Babciu, moja złociutka, jedyna, ja dziś muszę być na balu! Muszę koniecznie. A bialutka moja babunia serdeczna musi mi dopomódz, innej rady nie ma. Bo żeby moja babuś wiedziała, jaką mi mama kazała zrobić śliczną niebieską sukienkę.

— Tylko że ja doprawdy nie mam nic a nic szczęścia. Właśnie dziś mamę głowa boli i z balu może nie będzie nic!

— Ale babuś moja, ty to zrobisz, że do tej katastrofy nie przyjdzie, zrobisz to jak nie dla mnie, to dla mojej sukienki, prawda? Wisi w szafie na prawo, a czy na to ją zrobiono? Bal dla mnie tylko jeden. Wisieć będzie cały rok. Krój się zmieni! Nie szkodaż to pieniędzy?

— Czyś ty, moja babuś, miała takie przykrości przed swym pierwszym balem, jak ja teraz? Czy twoją mamę właśnie wtedy bolała głowa?

— I jeszcze nie wiesz tego, babuś moja złota, że moje życie będzie złamane, jeśli dziś na bal nie pójdę! Opowiem ci to potem, ale teraz musisz, musisz, bo nie będziesz moją jedyną najśliczniejszą, najsrebrniejszą. Tylko mamie ani mrumru! Ja przyszłam dowiedzieć się o zdrowie babusi, tak mama kazała.

— Dziś w południe będzie tatuś tędy przechodził, jak zwykle. Babuś zapuka do okna. Tatuś przyjdzie i ja będę na balu. Gołąbeczek staruszek zrobi to dla swego kotka biedusia? Nie zrobi?

I kotek pobiegł do domu, zawadziwszy po drodze o sklep pana majstra szewskiego, znanego w całej okolicy z misterności swego kunsztu.

— A pamiętajcie o moich pan-to-fel-kach!

II.

— Jakżesz zdrowie babci, Janko?

— Mateczko kochana, bardzo dobre! Zdrowiuteńka! Kazała prosić mamę, żeby się mamuś nie irytowała dziś, ale to niczem a niczem. Dwa plasterki cytryny na skronie i ból jakby ręką odjął.

— Dziękuję ci, Janko. Żałuję bardzo, że dziś nie będziesz na balu.

— E!... To nic...

— Zostaw mię samą, idź do siostry przerobić francuskie i fortepian.

— Dobrze, mamuś kochana.

III.

Dwie dziewczęce główki przytuliły się do siebie, małe rączki razem zwarły i w szepcie rozfalował się czar marzeń o... pierwszym balu. Z chwili na chwilę rósł zamek czarodziejski, zaludniał się w bujnej wyobraźni uroczemi księżniczkami i wiernymi rycerzami w frak zakutymi.

— Ach! Stefuś moja, Stefuś, żebyś ty wiedziała co ja cierpię! Co ja cierpię! Ja nie wiem, ale jak mię poprosi do walca ten śliczny oficer, wiesz, ten... On mnie zna! Gdy ulicą przechodzę, on patrzy na mnie, ale jak! Ach!

— Teraz, gdy mówię o tem, to nogi mi się trzęsą pod kolanami! Nie wiem co będzie. Dziś rozstrzygnie się moje życie.

— A ten młody prawnik, co u nas bywa, on będzie też na balu!

— Wiesz, już przed trzema dniami kazałam szewcowi zrobić dla siebie pantofelki lakierki. Musiałam, nie mam innych. Tylko że mama o tem nic nie wie!

— Stefuś, muszę być dziś królową! Muszę i czuję, że będę!

— Boże, co za rozkosz!

IV.

W drzwiach stanął ojciec.

— Ej, Janko, kto był u babuni?

— Ja! Pytać się o zdrowie, mama kazała! Babcia dziękuje, kłania się, jest zdrowa, kazała dwa plasterki cytryny...

— Co ty pleciesz, Janko?

Ręce utonęły w jedwabnych splotach włosów dziewczęcia.

— Obiecałem babuni, ale co zrobić z mamą? Co tu kłopotu. To wszystko przez ciebie, Janko! No, ale trudno, babuś kazała, my iść musimy. Mamuś babcię musi też słuchać.



Pierwsza kobieta w parlamencie angielskim: Lady Astor przed złożeniem przysięgi w parlamencie.

V.

Wielka chmura, mały deszcz!

— Ja zawsze to czułam, że takiej drogiej, najdroższej mamusi jak ja mam, to nikt nie może mieć na całym bożym świecie.

— Kasiu! Dla mnie żelazko gorące do włosów, prędko!

— Kasiu i dla mnie prędko!

VI.

Sala. Światła. Kwiaty. Pierwsze tony melodyjnego walca.

— Janko, dlaczego tak mi rękę ściskasz?

— Stefuś moja, on! Widzisz, stoi przy drzwiach. Jaki śliczny w tym mundurze. Stefuś, mnie drżą nogi, on się na mnie patrzy.

— Nie ściskaj mi tak ręki!

— Stefuś moja, on idzie! Już idzie! Co ja cierpię!

— — — — — — — — — — — —

To nie był walc, to nie był taniec! To zabłąkanego kawał obłoku pod błękitne pończoszki się podwinął i porwał z sobą w niebo, gdzie anielskie tony muzyki w przedziwny rytm się zwarły i uderzając miarowo w obłok, rozchwiały go w półkoliste kręgi, coraz szybsze, coraz większe, coraz zawrotniejsze, coraz słodsze, coraz rozkoszniejsze. Gwiazdy pomieszały się z oczkami, oczka z gwiazdkami, że się nie wiedziało, czy oczka gwiazdkami, czy gwiazdy oczkami.

— Trzymam panią jak zaklęty cudny kwiatek i boję się go puścić, żeby kwiatek się nie złamał, płatki nie opadły...

— Niech pan nie puszcza, niech pan nie puszcza!

VII.

— Pani lubi kadryla?

— To zależy...

— Wolałaby pani tańczyć go z oficerem?

— Tego nie powiedziałam.

— Wolno mi będzie jutro przyjść do państwa w bardzo dla mnie ważnej sprawie?

— To odemnie nie zależy.

— To i panią dotyczy..

— Taak?

VIII.

Kotylion.

— Pani nóżkami nie dotyka posadzki, bo pani jest wietrzyk wiosenny.

— Po czem pan porucznik to poznaje?

— Bo ile razy zdarza mi się z wiosną pójść pierwszy raz na otwartą łąkę, doznaję zawrotu głowy.

— Proszę nie filozofować. Przypinam panu order z dzwoneczkami bo zdaje mi się, że z wiosną na łąkach pierwsze dzwonki zakwitają.

IX.

— Siódma rano. Mama czeka.

— Już koniec? Szkoda!

— Proszę panią jeszcze do jednego białego walczyka.

— Jużem w kapusce na głowie.

— Nie szkodzi.

Zaszumiało w główce od wiru zawrotnego, jakiś powiew szepnął w uszko: „ja panią ko..."

X.

Biały dzień. Dzwonek kościelny, dzwonki przy sankach, muzyka balowa, rozwirowane nerwy złączyły się w jeden wielki jakiś poszum, z którego wyłaniał się cicho jeden cudny ton: „j panią ko....."

— — — — — — — — — — — —

Pamiętnik z ręki kobiety zsunął się na kolana. Z drugiego pokoju doleciał głos:

— Janko, daj mi płukanie na gardło!

Pamiętnik zleciał na podłogę.

— Janko, dlaczego nie odpowiadasz? Że też ja zawsze muszę się irytować na ciebie...

Tadeusz Kannenberg.

Pierwsza kobieta w parlamencie angielskim.

Swego czasu, wielką wrzawę i zainteresowanie spowodował u Anglików obiór pierwszego kobiecego członka parlamentu L. Astor we wszystkich obozach politycznych.

Należąca do partyi konserwatywnej miała za przewodników wybitnych mężów a mianowicie po prawej stronie przywódcę partyi konserwatywnej Balfoura po lewej zaś prezydenta Lloyda George'a. W tak świetnem towarzystwie weszła L. Astor na salę i usiadła na prawo od drzwi w miejscu oddzielonem drewnianą barierą od Izby Lordów. Zaraz przed rozpoczęciem posiedzenia w otoczeniu członków parlamentu wśród których znajdował się między innymi i przywódca robotników Thomas prowadziła z nim żywą rozmowę. Dopiero po uderzeniu „wielkiego dzwonu" podniosła się L. Astor ze swego miejsca i przekroczyła barierę oddzielającą ją od Izby Lordów przy której jednak musiała niespełna całą godzinę zaczekać.

Po złożeniu trzykrotnego ceremonialnego ukłonu, oddała p. Astor swą kartę wyborczą do skontrolowania, złożyła przysięgę i położyła swój podpis w „księdze" parlamentu. Przewodniczący podał jej rękę i na tem się formalności skończyły. Z tą chwilą stała się p. Astor członkiem najstarszego parlamentu świata. Przez cały ciąg tych ceremonii trzymała się p. Astor dzielnie. Czyniła wszystko spokojnie uśmiechając się lekko i nieznacznie tylko rumieńce na twarzy zdradzały wewnętrzne zdenerwowanie. Następnie zajęła p. Astor miejsce wśród stronników rządu pozdrawiana po drodze przez wielu członków parlamentu.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

,23

— Mój drogi panie — uśmiechnęła się pani Anna — dobrało się troje niedoważonych, młodych głupców i działają pod wrażeniem chwili. Jestem prawie pewna, że ten wspaniały projekt wyszedł z główki Isi i wierzę, że nie zdaje sobie dotąd sprawy, na co się naraża. Ale mam nadzieję, że jak się oboje na ostro do tego weźmiemy, to cała ta historya zakończy się dobrze. Panie Jerzy, dziś jeszcze musimy jechać do Wiednia. Pan i tak miał już wracać w tych dniach, nieprawdaż?

Leszczyc zawahał się na chwilę.

— Miałem tu pozostać co prawda jesze troche — odparł szczerze — ale wobec tego co zaszło, jestem gotów służyć pani. Na razie jest to ważniejsze.

Pani Anna nie zapytywała go w jakim celu miał zamiar zatrzymać się dłużej w Krakowie i spiesznie zabrała się do przygotowań do wyjazdu.

Na drugi dzień rano stanęli w Wiedniu.

Wchodząc do poczekalni, gdzie oczekiwać miała na nadejście Leszczyca, który miał się zająć rzeczami i sprowadzeniem dorożki, pani Anna nie mogła się powstrzymać od okrzyku zdziwienia i radości. Na jednej z ławeczek siedziała Isia z młodym Walewiczem. Isia była pomięszana i zachmurzona. Walewicz zaś nadrabiał miną, starając się ją uspokoić i tłumaczył jej coś gorliwie. Na widok wchodzącej pani Anny, Isia w pierwszej chwili zbladła ze wruszenia i zerwała się przerażona, ale zaraz rzuciła się ku niej i kryjąc twarz w ręce, rozpłakała się głośno.

Okazało się, że wyprzedzili tylko o parę godzin pociąg, wiozący panią Annę i Leszczyca i w bezradności swojej przybywszy na dworzec, nie wiedzieli teraz, co dalej robić ze sobą.

Isia porwana oryginalnością swojego postanowienia i nieobliczalnem pragnieniem wyrwania się z domu, oszołomiona nocną podróżą, teraz dopiero znalazłszy się w obcem mieście z prawie nieznanym swoim towarzyszem, zoryentowała się i pochwycił ją nagły lęk przed niepewną przyszłością, którą sobie nieopatrznie zgotowała.

Walewicz miał zamiar odwieść ją do zamężnej siostry jednego ze swoich kolegów z akademii handlowej, a sam udać się pod opiekę na której wyrozumiałość liczył gorąco

Zjawienie się niespodziewane pani Anny, było dla Isi wybawieniem. Stanęło na tem, że pani Anna miała zabrać ze sobą Isię do hotelu, obiecując Walewiczowi widzieć się jeszcze tego samego dnia z jego matką, co ten przyjął z wielką wdzięcznością. Pani Anna chciała skorzystać ze skruchy widocznej u Walewicza i przedstawić mu całą niekonsekwencyę jego szalonego kroku, ale zaraz przy pierwszych słowach Isia podskoczyła do niej, składając błagalnie ręce.

— Moja złota, moja dobra pani Anno — prosiła, przymilając się, tylko bez morałów i kazań. Już dosyć mamy za swoje i gdyby nie przyjazd pani, niewiem coby się tu stało. — Niech pani się nie gniewa, bo mi się zaraz dom przypomina, a chciałabym choć tutaj o nim zapomnieć.

I uspokojona już z błyskami powracającej radości w oczach przynaglała panią Annę do spiesznego odjazdu z dworca, gdzie czuła się jeszcze ogłuszona chaosem i zamętem nieznanym jej dotąd.

Sprawa, której podjęła się pani Anna, nie okazała się tak łatwą do przeprowadzenia, jak się to w pierwszej chwili zdawało.

Pan Walewicz, zniemczały kilkunastoletniem przebywaniem w Wiedniu, oddany całkowicie interesom swojej fabryki i marzący tylko o powiększeniu majątku przez rozsadne małżeństwo syna, z oburzeniem przyjął propozycyę pani Anny.

Walewiczowa zaś od pierwszych lat małżeństwa przyzwyczajona do ślepej uległości mężowi, nie śmiała w tym wypadku zbytnio nalegać, obawiając się, że tym sposobem podnieci tylko jego upór i niechęć.

Pani Anna po pierwszej nieudanej próbie zaczęła się niepokoić i oburzać.

— Moja kochana — wybuchnęła w końcu przed Walewiczową — nie rozumiem zupełnie twojego męża. Przecież to dziewczyna z dobrego domu i uczciwa, a twój syn skompromitował ją lekkomyślnie i naraził na złe języki. Przez samo uczucie sprawiedliwości, powinniście sami rzecz tę załatwić. Sądzę, że jesteście dosyć bogaci, aby przyjąć do domu synowę bez posagu. Tembardziej, że Henryk jest poważnie zajęty Isią i tą odmową, możecie go doprowadzić do jakiego nieszczęścia.



— Panie Jerzy — zaczęła odważnie...

Walewiczowa westchnęła ciężko i głęboki niepokój odmalował się na jej twarzy.

— Czy sądzisz, że nie myślę ciągle nad tem — odrzekła stroskanym głosem. Odkąd się dowiedziałam o całej tej historyi, nie mam ani jednej nocy spokojnej. Henryk zmienił się nie do poznania. Rozdrażniony jest, smutny, pomówić z nim nie można. Nawet mnie unika, chociaż wie dobrze, że z mojej strony nie potrzebuje się obawiać żadnej przeszkody.

— Widziałaś Isię, czy można jej mieć coś do zarzucenia — broniła swojej protegowanej pani Anna. Miłe to, dobre i ładne...

— Przyznaję, ale ta jej ucieczka...

— Moja kochana — zaśmiała się pani Anna. Czy możesz ją za to winić, że uległa naleganniom twojego syna i zajęła się nim do tego stopnia, że całkiem głowę straciła. Postąpiła nieopatrznie, to pewne, ale grunt w niej dobry i może być doskonałą żoną. Powinnaś jeszcze raz przedstawić to wszystko mężowi i wykazać konsekwencye jego oporu. O ile poznałam Henryka, to wiem, że nie jest z tych ludzi, którzy potrafią zapomnieć łatwo. Po pierwsze niepowodzenie może go złamać na całe życie.

Walewiczowa zamyśliła się głęboko. Widać było, że troska o syna walczyła w niej z obawą narażenia się na niezadowolenie męża.

— Mnie się zdaje — zaczęła po chwili nieśmiało — że narazie lepiej będzie pozostawić to biegowi rzeczy. Ty, Anno, jeżeli możesz pozostań tutaj z Isią czas jakiś. A ja zaś starać się będę wykorzystać jaką stosowną chwilę i nakłonić męża. Może on sam kiedy się przekona, że to rzecz poważna, zmieni zdanie, bo i on przecież jest bardzo przywiązany do Henryka i nie zechce mu łamać szczęścia.

Pani Anna więc wyprowadziła się jeszcze tego samego dnia z hotelu i zamieszkała z Isią w dwóch małych, umeblowanych pokoikach, z tem mocnem postanowieniem, że nie powróci do Krakowa, aż projekt małżeństwa Isi stanie się rzeczą formalną i pewną.

Leszczyc wysłany do Krakowa, wypowiedział mieszkanie pani Anny, meble złożył na składzie i powrócił bardzo przygnębiony i milczący.

Musiał się tam coś złego dowiedzieć — pomyślała pani Anna — kiedy wieczorem zjawił się u niej i niechętnie odpowiadał na zadawane mu pytania. Może się widział z Janką i rozmowa z nią uspokoiła go w ten sposób.

Dla pani Anny zwinięcie mieszkania w Krakowie i przeniesienie się do Wiednia, było rzeczą dosyć uciążliwą. Niewielka emerytura po mężu nie mogła teraz wystarczyć na potrzeby dwóch osób. Przy pomocy Walewiczowej wystarała się więc o kilka lekcyi, Isia zaś uszczęśliwiona ze zmiany, zasztej o jej życiu, objawiła niespodziewanie gorącą chęć zajęcia się również jaką pracą.

Pani Anna posyłała ją więc na kursa nauki sztucznych kwiatów, do której okazała tyle gorliwości i zamiłowania, że wieczorem już sama robiła kwiaty, które pewien magazyn odbierał od niej, wynagradzając dosyć dobrze.

— No, już teraz chyba na dobre pożegnałam się z pensya — zawołała raz Isia do pani Anny — siedząc przy stoliku zarzuconym płatkami różnokolorowego jedwabiu. Ja już dawno przeczuwałam, że ze mnie nie będzie nigdy tęga głowa. Czy to nie przyjemniej układać te listeczki, jak męczyć się nad gramatyką francuską. Żeby tu Janka była pomiędzy nami, już by mi nic więcej do szczęścia nie brakowało.

Mówiąc to spojrzała z pod oka na Leszczyca, siedzącego w zamyśleniu na kanapie.

Pani Anna zauważyła, że drgnął lekko i jeszcze niżej przechylił głowę, jakgdyby chciał ukryć wrażenie, jakie na nim wywarły słowa Isi.

Po chwili więc korzystając, że Isia wybiegła do kuchni przygotować wieczorną herbatę, przystąpiła nagle do kwestyi, która ją niepokoiła od pewnego czasu.

— Panie Jerzy — zaczęła odważnie, siadając przy Leszczycu. Dlaczego pan nie jest ze mną szczery? Czy pan sądzi, że nie zauważyłam, że od powrotu z Krakowa zmienił się pan bardzo. Jakiś smutek pana ogarnął, czy też zniechęcenie, dlaczego nie chce pan pomówić ze mną o tem, skoro pan dobrze wie, że wyczuwam skąd to pochodzi?

— Słowa tu nic nie pomogą pani Anno — odparł po chwili Leszczyc niechętnie. Są rzeczy, które same przez się dojrzeć mogą tylko.

Pani Anna jednak nie chciała ustąpić.

— Czy widział się pan z Janką, będąc w Krakowie? — zapytała.

— Nie. Bo i poco? Po tem czego się dowiedziałem ozmowa byłaby bezcelowa. Powtarzam pani, nie słów, ale czynów czekam.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z dziejów Gdańska: Srebrny dzban gdańskiej roboty z b. zbiorów carskich w Petersburgu

Z dziejów Gdańska.

Od niedawnego czasu zauważyć się daje żywe u nas zajęcie się sprawą Gdańska. W dawnych naszych dworkach i dworach kobierce i tkaniny były wschodnie, a sprzęty przeważnie gdańskie. Dzieje przemysłu i budownictwa w Polsce z okresu baroku w najściślejszym są związku ze sztuką gdańską, z tym gdańskim barokiem, który powstał na podstawach włoskich i holendzkich, który z Holandyi wziął bog ctwo ozdób, a lekkość z Włoch. Gdy na lat kilka przed wojną w całej Polsce nie znalazło się około miliona marek na zakupienie wspaniałych zbiorów po kupcu gdańskim Gieldzińskim, a zbiory te dostały się przeważnie do Berlina, dziś za jeden zegarek gdański płaci się po kilka tysięcy koron, a za szafę gdańską po kilkadziesiąt tysięcy.

Całe bogactwo Gdańska pochodziło z Polski, a źródłem złotonośnem była Wisła, która przynosiła na swych falach tratwy z pszenicą i drzewem. Za czasów krzyżackich Gdańsk był nieznacznem miastem, cała świetność zaczęła się za polskich czasów, zwłaszcza za Wojny Trzydziestoletniej, gdy Niemcy zniszczone były wojną, a Gdańsk spokojnie rozszerzał swe pole zbytu. Prof. Askenazy dobitnie przedstawił stosunek Gdańska do Polski, warto jeszcze nadmienić, co pisali sami Niemcy w tej sprawie. A. Lindner w monografii Gdańska tak wyraża się o stosunku Krzyżaków do Gdańska: „Od czasu nieszczęśliwej bitwy pod Tannenbergiem (Grunwaldem) 1410 potęga Krzyżaków zaczęła upadać. Wewnętrzne spory i przedsiębrane na własną rękę rozboje pomiędzy pochodzącymi z rozmaitych krajów Niemiec rycerzami, pogrzebały karność i porządek i zaszkodziły poważaniu u mieszczan. Komturowie i dowódcy nie troszczyli się o główną władzę Wielkiego Mistrza z Malborga, ale wykonywali w swych krajach samowolną władzę tyranów. Przywileje miast coraz bardziej malały, ich prawo, wolność chełmińska została znieważana, natomiast rosły podatki i dziesięciny. Mieszczanie zostali zmuszani do oddawania za wielkiemi opłatami zboża do mielenia w młynach krzyżackich, „flamandzki sążeń“, wedle którego wymierzono podatek rolny, został skrócony, zabroniono rybołóstwa. Lichy pieniądz przez zakon wybijany, miedź zamiast srebra, przyczyniało się do zubożenia kraju. Kto zaś przeciw temu, wysysającemu soki żywotne kraju, przeciw „przemocy i bezprawiu i uciemiężeniu“ do Malborga zanosił skargi, temu groził jeszcze większy ucisk, więzienie i kara śmierci. „Tak z pomiędzy dwóch twardych kamieni mało czystej mąki dostarczono — mówi kronikarz“. (A. Lindner: Danzig Leipzig 1903, str. 31).



Wawel: „Zygmunt“. (Fot Dipl. Ing K. Cybulski.)



Z dziejów Gdańska: Ulica Długa w Gdańsku z widokiem na ratusz. Według miedziorytu Schultza z połowy XIX w.



Z dziejów Gdańska: Szafa gdańska w Krakowie; własność hr. Potockich (pod Jagnięciem).

Drugi Niemiec profesor dr. A. Matthei, geheimer Regierungsrat, pisze: „Po straszliwym osaczeniu gdańskiego handlu przez Fryderyka Wielkiego, przyszła wkrótce ustawa kontynentalna. Gdy inne miasta hanzyatyckie znów odtąd zakwitnęły, Gdańsk tego uczynić nie mógł. Niewygodne położenie kolejowe wepchnęło Gdańsk“ w kąt, a najgorsze było to, że Gdańsk przez polityczne i cłowe ograniczenia, został odcięty od swej gospodarczej podstawy Polski“. (Danzig und seine Bauten. Berlin 1908).

Z przemysłu gdańskiego bardzo wysoko stało nadobne stolarstwo, złotnictwo i zegarmistrzostwo.

Jako okaz sławnych gdańskich zegarów przytaczamy dwa z rodzajów „kaflowych", to jest płaskich, mających tarczę u góry. Bo bokach są okienka, przez które widać misternie wykonane wnętrze. Zegarek do nakręcania otwiera się z dołu, gdzie widzimy prześlicznie wykonane rzeźby mechanizmu. (Ryc. 1. i 2.).

Ze stolarstwa gdańskiego przytaczamy szafę gdańską dębową (ryc. 3.) z rodzaju tych, których typ ustalił się w końcu XVII. wieku. Typ ten oparty na wzorach z Hollandyi, przybrał w Gdańsku na ozdobie i lekkości, a główną ozdobą są tu głębokie profilacye i pięknie rozwinięta szczytnica.

W „Orużejnej Pałacie" w Moskwie na Kremlu, znajdowała się znaczna ilość przepysznych naczyń srebrnych gdańskich, pochodzących przeważnie z darów, składanych przez królów i posłów polskich przy sposobności poselstw, jakto było niegdyś w zwyczaju. Co stało się z temi naczyniami, jak obeszli się z niemi bolszewicy, niewiadomo; szkoda byłaby niezmierna, gdyby te rzeczy zaginęły. Były tam naczynia znacznej wielkości i wagi, wspaniale rzeźbione w wybujałym gdańskim baroku. Podobnie ciekawe rzeczy były w carskich zbiorach w Petersburgu „poprzewożone", jak się nazywało w urzędowym języku, z rozmaitych stron.

W kościele katedralnym w Chełmie znajdowało się srebrne antepedium, roboty gdańskiej, które w roku 1877. zabrano do Orużejnej Pałaty w Moskwie. Rzecz objaśnia napis, wyryty u góry: „Triumphus Thaumaturgae in Sua Icone Chelmensi Mariae ad Beresteckum, ubi Serenissimus Joannes Casimirus Poloniarum Rex sub Praesentio Sacrae huius Imaginis Thessera ista, Sanctissima Virgo Chelmensis usus Juratum Rebellium Cosacarum cum Scythis adversus Regnum, Confederationem Victore Polono Ense rescidit. Anno Dom. 1651. 10. July". Całość składa się z oddzielnych płytek, wykonanych wybijaniem. Znaczek Gdańska wykazuje, że tam wykonano to dzieło. Długość całego obrazu wynosi 146 cm., wysokość 95 cm.

Treść jest następująca: Na prawo, niedaleko od środka, w głębi obrazu, widzimy ozdobny namiot, w głębi którego na przykrytym tkaniną stole, stoi obraz, z dwiema palącemi się świecami po bokach.



Aktorzy krakowscy żołnierzowi w polu: Hindenburg (Mierzyński) przygrywa publiczności krakowskiej na katarynie.

W głębi namiotu na prawo klęczy król Jan Kazimierz, w koronie na głowie, odziany zbroją, a za nim inni wojownicy w zbrojach klęczący. Na lewo duchowny z długą brodą w kapie i stule. Z lewej strony wiodą do namiotu jeńców i stosy zdobytych chorągwi. W głębi widać namioty z półksiężycami na szczytach. U góry wyobrażony monogram Matki Boskiej, którego promienie oświecają stojące u dołu miasto, odznaczające się licznemi wieżycami, gdy w stronę uciekających nieprzyjaciół, których widać w głębi, biją od tego monogramu gromy.

Przytaczamy tu dla przykładu dzban srebrny ze zbiorów carskich, znacznej wielkości, wagi 3 60 kg. Na dzbanie wyobrożona indyanka, jadąca na morskim koniu (ryc. 4).

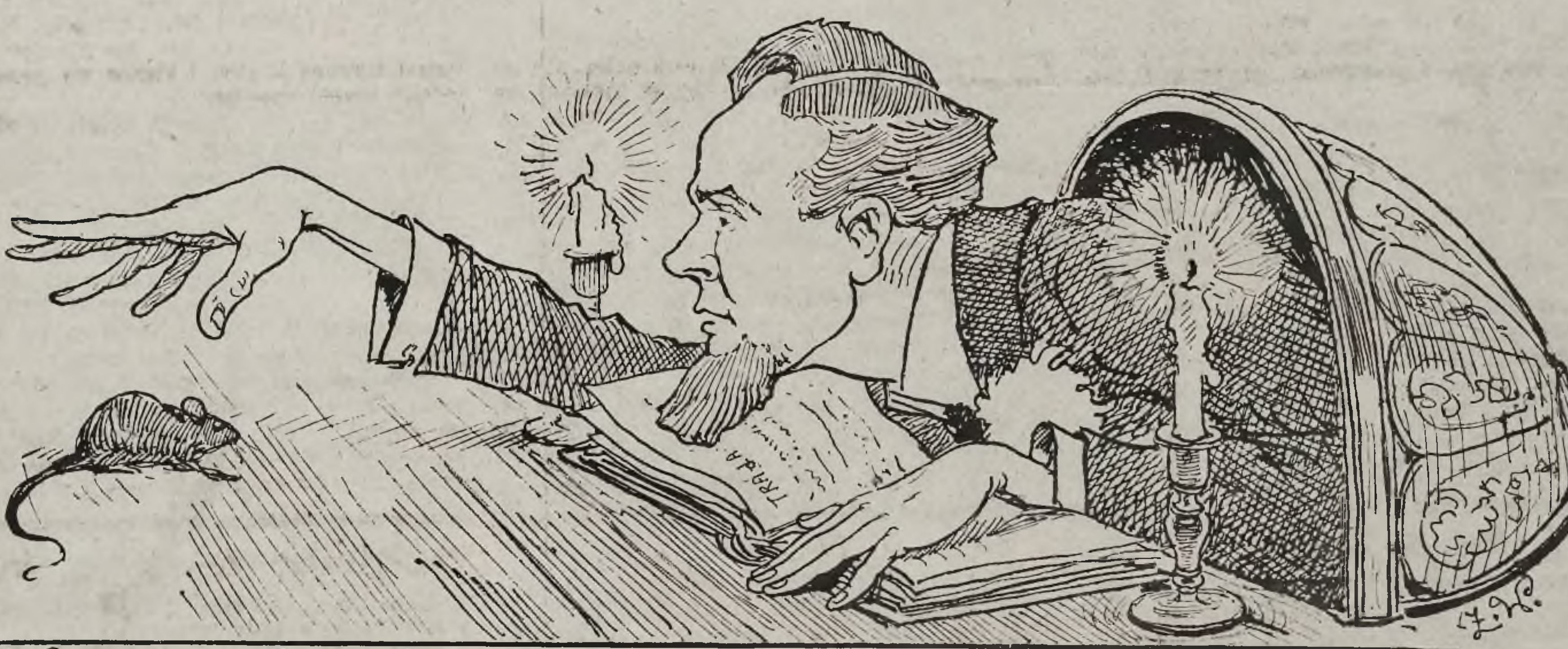
Załączamy tu dwa wspaniałe widoki Gdańska z miedziorytów Schultza z połowy XIX. wieku, jeden wyobrażający kościół św. Katarzyny, z wyspą na Raduni, dopływie Wisły, na której zbudowano w roku 1349 dotąd stojący „Wielki Młyn" (ryc. 5) i wspaniały widok „Długiej ulicy" z ratuszem w głębi (ryc. 6)

Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński.

Aktorzy krakowscy żołnierzowi w polu.

Zbliżające się święta zwróciły szczególniejszą uwagę całej Polski na żołnierza w polu. Wszyscy bowiem pamiętają codzień, że ten żołnierz swoją piersią osłania Ojczyznę, że on dziś swoją krwią Ojczyznę buduje.

W Krakowie na pierwszy ogień wyruszyły ochocze i ofiarne kompanie szturmowe zjednoczonych artystów krakowskich. Już wcześnie pojawiły się wesołe plakaty, obwieszczające ludowi krakowskiemu co go czeka w dniu 11. grudnia: naprzód ofensywa w postaci zbiórki dokonanej przez najpiękniejsze artystki czterech teatrów, następnie nocny atak podjęty przez trzy luzujące się nawzajem zespoły kabaretowe, na forty hotelu Saskiego, Pollera i Polonii. Zespoły kabaretowe oddano pod komendę trzech conferencier'ów p. Noskowskiego, Nowakowskiego i Wyrwicza. Każda partya po ukończeniu swojego programu udawała się natychmiast do drugiej restauracyi, potem do trzeciej. Program wykonany w artystycznem i nadzwyczajnie interesującem doborze, przyniósł pomyślne zwycięstwo we wszystkich fortach.



Zadania domowe grzecznego Stefcia.

O dyrektorze teatru.

Dyrektor teatru to taki pan, co może być codziennie w teatrze i jest przez to bardzo szczęśliwy, szczęśliwszy od niego jest tylko Barnum, albo ten pan co ma sklep z małemi pieskami. Dyrektora teatru wszyscy lubią i mówią: „Kochany dyrektorku" – gdy daje darmo bilety. Aktorzy mówią zawsze o żyjącym – idyota, a o zmarłym – ideał, chyba gdy jest helerem – to mówią inaczej...

Jak dyrektor nastaje, to na początku wszyscy go chwalą i cieszą się nim, jak Tatuś naszym małym Edziem, co już sam woła eee... jak potrzebuje; później zaczynają narzekać, że się na nim zawiedli, bo on nie do tego (nie Edzio, ale dyrektor) – a na końcu to jest klapa, co najwięcej złości aktorki, bo nie wiedzą, jak się użyć – na nowy sezon.

Kiedy dyrektor jest aktorem – to mówią, że robi szmirę i sam się zgrywa, czy potrzeba, czy nie potrzeba i radzą mu, by się uczył pisać i czytać i został literatem – a jak jest literatem, to znów niby na niczem się nie zna i jest jeszcze gorzej. Najlepiej było w Warszawie, bo był pułkownik konnej policyi i mama mówi, że lubił balet, tak jak Tatuś.

Odmianą dyrektora jest – kandydat, to taki co albo już raz był i go wyrzucili, albo ma ochotę, a nikt go nie chce. U nas na drugiem piętrze mieszka taki kandydat, wygląda tak samo, jak inni, tylko po nocach nie śpi, ale sztuki pisze, a później wystawia, aż Franciszkowa mówi, że to obraza boska – takiego trzymać w domu. Mama go broni, że to bardzo dobry lokator, tylko mu się w głowie mole zalęgły i choruje na – szexpira, to jest taka choroba, co się zużywa dużo papieru – niepotrzebnie a potem umiera – jak wujek Alfons – u czubków.

Teraz ten pan jest bardzo smutny, bo go nie zrobili dyrektorem i gwałtem znów chce wystawić jakiegoś „białego piawa" czy też „Prodomo", aż mu Tatuś zagroził, że mu podniesie komorne i radził, by wziął się do uczciwej pracy, to go nawet umieści w gazowni.

Ciocia Milcia pokazała mi wczoraj nowego dyrektora, ma już nawet przylepioną bródkę i będzie podobno dobry, tylko fałszywie śpiewa, ale jak mu zakażą, to mogą być z niego ludzie – jak mówi Tatuś, byle miał „sitzfleisch" i dawał często loże.

Ja bardzo lubię siedzieć w loży a jeszcze bardziej pluć z niej, jak jest ciemno, a jak zobaczę tego nowego dyrektora, to go poproszę, by mi dał lożę, ale tylko dla mnie bo chcę zobaczyć czy warto mu dać moją sztukę. Jak mi nie wystawi – to go będę zwalczać, bo tak się podobno robi aby znał mores i wówczas jest dobrze...

Stefan Nowiński.

Kronika tygodniowa.

I w samej rzeczy, tak, jak przypuszczałem, zwrócono się do mnie w ostatniej chwili z propozycyą, czy nie miałbym ochoty zająć się utworzeniem gabinetu, skoro nie chce się tego podjąć ani pan Skulski, ani Trąmpczyński, ani Wojciechowski, a Paderewskiego nie chcą.

Wychodząc z zasady, że jest obowiązkiem każdego tak opłacającego podatki, jak i zalegającego z nimi, spieszyć, gdy wołają do pracy dla dobra ogółu, pomyślałem sobie przecież, że się to nie opłaci ze względu na koniec świata. Zanim gabinet umebluję, minie z tydzień, a potem zostanie mi na urzędowanie zaledwie dziesięć dni. Wprawdzie byli już ministrowie, którzy nawet i tak długo nie cieszyli się teką, mnie głównie odstraszało to, że z powodu zapowiedzianego, a do ostatniej chwili nie odwołanego końca świata, nie będę mógł starać się o emeryturę. Wytłumaczyłem się zatem słabem zdrowiem i brakiem pozwolenia Weroniki, która oświadczyła wyraźnie, że nie chciałaby być żoną premiera a nie mieszać się do spraw politycznych, gdyby się zaś niemi zajęła, tak, jak pani Paderewska, toczyłyby się do niej gazety, a ona sobie tego nie życzy.

Wobec tego pan Skulski złożył gabinet, powołując doń krakowskiego posła, aby w ten sposób dać wyraz, że Warszawa nie traktuje lekko Małopolski, jak się o tem i mówi i pisze.

Pan Paderewski był z zawodu muzykiem i na politykę zapatrywał się z artystycznego punktu widzenia, pan Skulski jest chemikiem, zabierze się zatem z pewnością do analizowania wszystkich spraw, na czem dobro ogółu może tylko zyskać, a nie stracić.

Obowiązków prezydenta ministrów nie mógłbym zresztą pogodzić z kronikarstwem, stanęło zatem po gruntownej debacie na radzie familijnej, że mam dać odmowną odpowiedź.

Tak sobie życzyła Weronika, tak się też stało i bynajmniej tego nie żałuję, miałem bowiem czas na godne przygotowanie się do owego końca świata, pod którego wrażeniem żyliśmy przez całą pierwszą połowę grudnia, nie otrzymując z tego powodu nawet zmniejszonej racyi kartkowego chleba, zapewne dlatego, aby nam lżej było bujać w przestworzu, gdy nadejdzie owa krytyczna chwila.

Dzięki Bogu, obeszło się bez tego. Świat stoi (raczej kręci się!...) na tem samem miejscu, co przedtem, kończy się natomiast rok 1919.

I słusznie ktoś tam zauważył, że pan Porta albo sam się pomylił, albo źle go zrozumiano. On miał na myśli koniec roku, a nie koniec świata, podał jednak termin jego nie ściśle, bo wcześniej o czternaście dni, co jest wprawdzie na oko wiele, ale właściwie niczem w porównaniu z wiecznością. Tego rodzaju pomyłki są dopuszczalne, zwłaszcza w astronomii, gdzie miliard kilometrów lub tysiąc lat to drobnostka, nad którą przechodzi się z zasady do porządku dziennego.

Gdyby zresztą przepowiednia pana Porty była się sprawdziła, byłbym się znalazł w bardzo przykrem położeniu, nie mogąc złożyć P. T. Czytelnikom życzeń „Wesołych Świąt".

Bo i jakże miałem życzyć dwa tygodnie naprzód, nie wiedząc o tem, czy te życzenia dojdą ich na ziemi, czy też mają ich szukać gdzieś w przestworzu... A niewiadomo, czy tam są poczty, a jeśli są, jak funkcyonują. Jeśli bowiem tak, jak nasze, życzenia moje z okazyi Bożego Narodzenia mogłyby dojść dopiero gdzieś koło Wielkanocy, kiedy się życzy przy jajku, a nie z opłatkiem w dłoni.

A ja właśnie z opłatkiem w ręku staję przed P. T. Czytelnikami. To jest, ściślej mówiąc, bez opłatka, gdyż na ich sporządzenie nie starczyło mąki. Koniec świata i zmiana gabinetu odbiły się i w tym kierunku, ku ogólnemu ubolewaniu, zwłaszcza organistów i kościelnych, pozbawionych w ten sposób źródła bardzo pokaźnego dochodu.

Zatem bez opłatka, ale zato ze szczerego serca życzy kronikarz każdemu i każdej, bez względu na to, czy to Prenumerator, czy Czytelnik, aby w zdrowiu i powodzeniu doczekał roku przyszłego i następnej wigilii, byśmy mogli powtórzyć sobie znowu życzenia i powiedzieć sobie, czy te, z roku poprzedniego się spełniły, czy też było z niemi tak, jak z końcem świata pana Porty.

Odkąd wszedł u nas ogólnie w użycie system dziesiętny, zastosowano go też i przy składaniu życzeń. Na każdym kroku słyszy się: „Sto lat zdrowia!"... ale w duchu myśli życzący zupełnie co innego. Kronikarz trzyma się starych zwyczajów, życzy mniej, ale zato szczerze i sądzi, że i P. T. Czytelnicy odpłacą mu się w ten sam sposób.

Za rok znajdziemy się może w lepszych niż dzisiaj warunkach, więc też i życzenia będą daleko „obfitsze".

I tą kronikę czeka zresztą podobny los, jak jej koleżankę z ubiegłego tygodnia. Jedni z Czytelników otrzymają ją przed świętami, inni w same święta, reszta już po nich. Niektóre życzenia będą więc spóźnione, ale nie z winy kronikarza, lecz tego, który układał kalendarz i Boże Narodzenie wyznaczył na dzień 25. grudnia, przypadający w tym roku na czwartek, to jest na dzień, w którym *Nowości illustrowane* pojawiają się w Krakowie na widok publiczny.

Kronika niniejsza jest pozatem i ostatnią w tym roku, następny numer będzie bowiem już z datą 1. stycznia 1920.

Musimy więc pożegnać się ze schodzącym do grobu staruszkiem i oglądnąć się poza siebie, aby się przekonać, czy zasługuje na to, aby go żałować, czy też cieszyć się z tego, że się skończył, życząc mu, aby ziemia była mu lekką, a przywalić go ciężkim kamieniem zapomnienia, aby się tak prędko nie ruszył.

Oglądanie się nie należy wprawdzie do dobrego tonu i żona bł. p. Lota ukaraną została za tą towarzyską niewłaściwość zamienieniem w słup soli, co mnie jednak nie odstrasza. Jestem pewny, że niejeden z Czytelników nie pogniewałby się, gdyby coś podobnego stało się z jego połowicą, nie tylko bowiem pozbyłby się kłopotu, (baba z wozu, koniom lżej...), ale w ten sposób zaopatrzyłby się w cenny artykuł spożywczy i mógłby go... puścić na pasek, o ile nie obawiałby się, że go może dosięgnąć ramię karzącej sprawiedliwości. Choć ma ona zawiązane oczy, podobno dlatego, aby nie widziała tych wszystkich łajdactw na świecie, jakie się dzieją, w ostatnich czasach wypatruje przecież wcale skrupulatnie różnych „rycerzy przemysłu" i zabiera się do nich wcale energicznie. Budzi to naturalnie liczne protesty i narzekania w tonie:

— Ładna mi to wolność w młodej Polsce, gdzie się nie można zająć nawet „uczciwym" handlem!...

I pan Paderewski w swem ostatniem *exposé* po powrocie z Londynu i Paryża (które było jego łabędzim śpiewem...) poświęcił paskarzom serdeczne wspomnienie, obiecujące im ni mniej, ni więcej, tylko stryczek, ale źle na tem wyszedł, gdyż poszczególne stronnictwa nie mogły mieć zaufania do premiera, wygłaszającego takie zasady i wprost odmówiły mu poparcia.

Rok 1919., zaczęliśmy pod znakiem wyborów do Sejmu konstytucyjnego, który radził z małemi przerwami jedenaście miesięcy, a konstytucyi nie uchwalił, kończymy zaś dymisyą p. Paderewskiego i objęciem rządów przez gabinet Skulskiego, choć nie można powiedzieć, czy dotrzyma on do 31. grudnia, aby nowi ministrowie mogli pobrać gażę na pierwszego.

W r. 1918. zapewniano ogólnie, że 1919, będzie stanowczo pomyślniejszy, stosunki się wyklarują, pokój zostanie zawarty, zniknie więc ta zmora, która nas gniecie od sierpnia 1914. roku, z każdym dniem przygniatając na sile i natężeniu.

Pokazało się przecież, że się pomylono. Stosunki zamiast się poprawić, pogorszyły się jeszcze. Na każdym kroku musieliśmy walczyć z trudnościami i brakami, ale to nas przynajmniej pocieszało, że siedzimy już na swych własnych śmieciach i mamy swą własną grzędę, która, choć dotąd nie ogrodzona jeszcze, więc lada sąsiedzki prosiak włazi w szkodę, ale w każdym razie nasza i nikt, nawet życzliwy Lloyd George nam jej nie odbierze.

Czekaliśmy zatem na poprawę stosunków i to bardzo cierpliwie, mając wiele sposobności do wyćwiczenia się w tej cnocie. Dawniej zachęcali nas do tego okupanci, dziś czyni zupełnie to samo własny rząd.

I czegóż się doczekaliśmy?... Jeśli się zestawi całoroczny bilans, przekonamy się, że właściwie niczego, bo dotąd nie mamy granic i konstytucyi, obietnic natomiast wiele, a pożytku z nich mało. Własni nasi sprzymierzeńcy i protektorowie, zamiast postarać się o to, abyśmy w spokoju mogli pomyśleć o wprowadzeniu u siebie jakiegoś ładu i porządku, boć to leży i w ich własnym interesie, każą nam wyciągać dla siebie gorące kasztany z pieca i kłaniać się jeszcze za tą łaskę i wysoki zaszczyt.

Widząc jaką nas koalicya otacza protekcyą, nie szczędzili nam też i sąsiedzi dowodów swej sympatyi, a Niemiec, Moskal, Ukrainiec i Czech skubali nas na wyścigi, gdzie się dało, narzekając jeszcze, że dzieje się im krzywda.

A że koalicya ma bardzo czułe serce i z zasady ujmuje się zawsze za pokrzywdzonym, nic też dziwnego, że brała zawsze ich stronę, a my dostawaliśmy burę z zagrożeniem, że, jeżeli się to jeszcze raz powtórzy, wypuści nas z swej przemożnej opieki.

I kto wie, czy nie byłoby lepiej, gdyby tak się stało, gdyż na tej opiece wychodzimy zupełnie tak, jak ów wierny sługa, który całe swe życie poświęcił dla swego chlebodawcy, aby ostatnie swoje dni spędzić w przytułku Towarzystwa Dobroczynności.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył K. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a e e g
g   h   k
k k h m n
n   o   o
o o s u u
```

Znaczenie wyrazów: 1) Miejsce święte dla Turków. 2) Przeobrażenie owada. 3) Część mszy św. (po łacinie).

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Opolski, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a
h m n o
o o o p
r r t t
```

Znaczenie wyrazów: 1) Taniec narodowy rumuński. 2) Godność kościelna. 3) Część dnia. 4) Najdrobniejsza cząstka materyi.

Logogryf.

Ułożył W. W., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego generała.

```
    ■
— — ■ —
    ■ —
  — ■ —
    ■ —
  — ■
    ■ —
  — ■ —
    ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
  — ■ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Część ciała. 3) Spółgłoska 4) Rzeka w Niemczech. 5) Owad. 6) Spółgłoska. 7) Polskie nazwisko szlacheckie. 8) Imię żeńskie. 9) Okres czasu. 10) Miasto w Galicyi wschodniej. 11) Rodzaj poezyi. 12) Część budynku.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył M. K., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: a, a, b c, c, d, e, e, g, h, i, l, i, o, r, r, w, w, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza „Rodzina Połanieckich" (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 50.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Żołnierz królowej Madagaskaru. 2) Berek zapieczętowany.

Bilety wizytowe. Prezydent. Komisarz. Adjunkt. Kancelista. Dyurnista.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Mroczkowski Kraków, J. Günzig Sambor, S. Kozioł Lwów, M. Zychowicz Tarnów, S. Malinowski Sandomierz, H. Ostrowska Jasło, J. Kozak Podgórze, S. Palczewski Warszawa, R. Dylski Wadowice, W. Lange Poznań, J. Jaworski Lwów, S. Kamiński Przemyśl, Z. Grodecki Rzeszów, H. Łapiński Kraków, M. Osadzińska Brzesko, H. Węgiarski Zakopane, L. Kołodziejski Częstochowa, K. Jordan Lwów, Z. Raczyński Piotrków, H. Kunz Lwów, F. Jamiński Kraków, B. Siewarga Bochnia, M. Antosz Kraków, H. Jabłoński Przemyśl, L. Fedorowicz Warszawa, W. Potocka Kraków, H. Obst Lwów, S. Kuczyński Stryj, T. Rechowicz Rzeszów, A. Gross Kraków, W. Bogusz Stanisławów, J. Olszańska Jaworów, K. Barański Kraków, Z. Łysakowski Kraków, K. Drozdowski Warszawa, S. Zamorski Kraków, R. Sperling Wiedeń, K. Patelski Kraków, M. Hanasiewicz Warszawa, Z. Idziński Lwów, L. Aleksandrowicz Jarosław, S. Garner Kraków, R. Kinaski Tarnów, S. Gumiński Tarnopol, M. Schneider Sandomierz, H. Małecka Radomyśl, S. Drzewiecki Jasło, K. Tabaczyński Łódź, L. Wojciechowski Stanisławów, S. Krzyżanowski Kraków, W. Jasiński Podgórze, H. Bandrowska Warszawa, D. Jakubowski Kraków, R. Tymiński Lwów, Z. Dzikowska Kraków, M. Zak Kraków, J. Młynarski Kołomyja, M. Niemiec Lwów, J. Gaj Sandomierz, W. Trojacki Warszawa, S. Sokołowski Poznań, J. Dębicki Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Palczewski Warszawa (książka). 2) W. Bogusz Stanisławów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta polecionej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejczyka.